
Laura Bellini
Gorzka pomarańcza, słodki powrót
Nie wróci po to, żeby uratować cudze życie

Gorzka pomarańcza, słodki powrót

Nie wróci po to, żeby uratować cudze życie

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384901557

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki powrotu 12
Rozdział 2 - Smak rzeczy niewypowiedzianych 22
Rozdział 3 - To, czego nie da się zamknąć w butelce 34
Rozdział 4 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy 44
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 55
Rozdział 6 - Smak pierwszego pocałunku 64
Rozdział 7 - Między pragnieniem a obietnicą 74
Rozdział 8 - Tam, gdzie nie trzeba niczego udowadniać 85
Rozdział 9 - Cena jednej decyzji 98
Rozdział 10 - Kiedy przestajemy udawać 108
Rozdział 11 - Bliskość ma swoje granice 118
Rozdział 12 - Prawda ukryta w harmonogramie 128
Rozdział 13 - Nie wszystko można ocalić 138
Rozdział 14 - Prawda, której nie można odłożyć 148
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedział 156
Rozdział 16 - Odległość, której potrzebujemy 166
Rozdział 17 - To, co należy do mnie 176
Rozdział 18 - Miłość bez rachunku do zapłacenia 186
Rozdział 19 - Rzeczy, które zostają 197
Rozdział 20 - Słodki powrót 208

INTRO

Pierwszą pomarańczę zerwałam z drzewa, zanim zdążyłam przypomnieć sobie, że nie miałam już prawa zachowywać się tutaj jak u siebie.

Skórka była chłodna, lekko szorstka i poznaczona drobnymi ciemnymi punktami. Przyłożyłam owoc do nosa, zamknęłam oczy i nacisnęłam paznokciem miejsce przy szypułce. Uwolniła się ostra, zielona nuta, po której przyszła gorycz białej błonki i coś niemal kwiatowego. Ten zapach znałam lepiej niż drogę prowadzącą z Walencji do sadu. Przez siedem lat próbowałam go odtworzyć w laboratoriach Warszawy, Grasse i Barcelony. Zawsze brakowało jednego elementu.

Teraz wiedziałam jakiego.

Powietrza, w którym nie trzeba było udawać, że wszystko jest w porządku.

— Kradniesz owoce czy zbierasz materiał badawczy?

Głos dobiegł zza mojego prawego ramienia. Niski, spokojny, z tą samą irytującą nutą rozbawienia, którą pamiętałam z czasów, gdy jeszcze potrafił rozbroić mnie jednym zdaniem.

Nie odwróciłam się od razu.

Przez siedem lat wyobrażałam sobie spotkanie z Lucjanem Borkiem na co najmniej dwadzieścia sposobów. W większości wyglądałam doskonale, mówiłam coś celnego i odchodziłam, zanim zdążył odpowiedzieć. W żadnym nie miałam na sobie zakurzonej lnianej koszuli, włosów związanych gumką znalezioną na lotnisku ani pomarańczy w dłoni.

— Zależy, czy zamierzasz wystawić fakturę — odpowiedziałam.

— Za owoc czy za wspomnienia?

Dopiero wtedy się odwróciłam.

Stał kilka metrów ode mnie, pod drzewem, którego gałęzie uginały się od dojrzałych owoców. Miał trzydzieści dziewięć lat, ciemne włosy krótsze niż kiedyś i kilkudniowy zarost. Biała koszula z podwiniętymi rękawami wyglądała na zbyt elegancką do pracy w sadzie, ale ubrudził już jej mankiet ziemią. Nie przypominał mężczyzny z ostatniego zdjęcia, które przypadkiem zobaczyłam w internecie. Był bardziej zmęczony. I zdecydowanie bardziej rzeczywisty.

Najgorsze okazało się jednak to, że nadal wiedział, jak na mnie patrzeć.

Nie jak na kobietę, której nie widział od siedmiu lat. Raczej jak na kogoś, kto wyszedł na chwilę do drugiego pokoju i właśnie wrócił, chociaż rozmowa nie została jeszcze skończona.

— Za wspomnienia zapłaciłam wystarczająco dużo — powiedziałam.

Uśmiech zniknął mu z twarzy.

Przez chwilę słyszeliśmy tylko owady i odległy szum samochodów na drodze biegnącej za wzgórzem. Słońce wisiało nisko, rozlewając miodowe światło pomiędzy rzędami drzew. Walencja pozostawała gdzieś za nami, z jej restauracjami, hotelami i ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, że trzydzieści kilometrów dalej można wciąż stracić grunt pod nogami przez jedno spojrzenie.

— Jowita — odezwał się w końcu. — Nie wiedziałem, że przyjedziesz dzisiaj.

— To chyba jedyna rzecz, której nikt ci nie powiedział.

Zauważył walizkę stojącą przy żwirowej ścieżce. Potem spojrzał na moją torbę z próbkami i metalową kasetę, w której przewoziłam blottery, pipety oraz szczelnie zamknięte fiolki.

— Przyjechałaś pracować.

— Przyjechałam sprawdzić, czy materiał nadaje się do projektu. To nie to samo.

— Dla mnie brzmi podobnie.

— Właśnie dlatego od lat nie prowadzimy razem interesów.

Nie odpowiedział od razu. Zamiast tego podszedł do sąsiedniego drzewa i odsunął gałąź, która zasłaniała wąskie przejście. Ten gest poruszył we mnie coś bardziej niewygodnego niż jego twarz. Lucjan zawsze dostrzegał rzeczy, o których inni nie myśleli. Niedokręconą nakrętkę w butelce. Kamień w bucie. Moment, w którym cisza przestawała być odpoczynkiem, a zaczynała przypominać samotność.

Kiedyś uważałam tę uważność za najpiękniejszą formę miłości.

Potem przekonałam się, że można rozumieć czyjeś potrzeby i nadal wybierać własne.

Przyjechałam do Walencji z konkretnym planem. Trzy tygodnie na przygotowanie wstępnej kompozycji zapachowej dla rodzinnej marki Borek, podpisanie umowy licencyjnej i powrót do Warszawy, gdzie czekał na mnie wynajęty lokal pod pierwsze własne atelier. W piątek miałam wpłacić zaliczkę na wyposażenie. Za miesiąc zamierzałam uruchomić pracownię, w której nikt nie mógłby powiedzieć,

że zawdzięczam swoją pozycję odpowiedniemu nazwisku albo odpowiedniemu mężczyźnie.

Przez dwanaście lat pracowałam na to, żeby moje nazwisko wystarczało.

Tymczasem stałam w sadzie Lucjana, z owocem w dłoni i wspomnieniami, które nie zamierzały podporządkować się harmonogramowi.

— Matka mówiła, że zaakceptowałaś zlecenie — powiedział.

— Zaakceptowałam możliwość rozmowy. Projekt będzie zależał od warunków.

— Nadal wszystko zapisujesz w umowach?

— To pomaga odróżnić obietnicę od zobowiązania.

Przyjął odpowiedź bez protestu, ale zobaczyłam, jak zacisnął palce na gałęzi. W pamięci pojawił mi się obraz jego dłoni sprzed lat, opartych o kuchenny blat w naszym wynajętym mieszkaniu. Wtedy też milczał. Ja mówiłam, że dostałam propozycję pracy w Grasse. On tłumaczył, dlaczego nie może opuścić sadu. Oboje mieliśmy rację, a mimo to oboje przegraliśmy coś, czego nie potrafiliśmy później odzyskać.

— Chciałbym, żebyś zobaczyła stary budynek przetwórni — powiedział teraz. — Zanim podejmiesz decyzję.

— Po co?

— Tam ma powstać pracownia zapachowa. Możemy wykorzystać część dawnego wyposażenia.

Zaskoczył mnie. W dokumentach przesłanych przez jego matkę opisano linię produktów opartą na naturalnych aromatach, historię sadu i plan niewielkiej kolekcji perfum do wnętrz. Nie wspominano o pracowni na miejscu.

— Nie było tego w briefie.

— Wiem.

— Dlaczego?

Przez moment obserwował owoce nad moją głową.

— Nie wszystko udało się jeszcze ustalić.

Nie lubiłam tego rodzaju odpowiedzi. Szczególnie z jego ust.

— Lucjan, jeśli oczekujecie ode mnie opracowania receptury, mogę to zrobić. Jeżeli chcecie, żebym zorganizowała produkcję, musimy rozmawiać o innym zakresie i budżecie.

— Chcę najpierw pokazać ci miejsce.

Powiedział to łagodnie, bez nacisku. A jednak zabrzmiało znajomo. Kiedyś również zaczynał od małych próśb, zanim okazywało się, że za każdą stoi cały ciężar rodzinnych zobowiązań.

Schowałam pomarańczę do torby. Mogłam odmówić i wrócić do hotelu, ale właśnie po to przyleciałam: ocenić, co da się stworzyć z tego miejsca, nie oddając mu ponownie własnego życia.

— Pokażesz mi przetwórnię jutro o dziewiątej — zdecydowałam. — Dzisiaj potrzebuję pobrać próbki i odpocząć.

Skinął głową.

— Dobrze. Podwieźć cię do miasta?

— Mam wynajęty samochód.

— Więc przynajmniej pomogę z walizką.

— Poradzę sobie.

Cofnął wyciągniętą rękę. Bez westchnienia, bez obrażonego spojrzenia. Ta drobna zmiana zbiła mnie z tropu bardziej niż jakakolwiek sprzeczka. Dawniej Lucjan nie rozumiał, dlaczego odrzucam pomoc, skoro tak wiele rzeczy moglibyśmy zrobić razem. Nie potrafiłam mu wtedy wyjaśnić, że czasami chciałam po prostu wiedzieć, iż umiem coś zrobić sama.

Ruszyłam ścieżką w stronę parkingu. Po kilku krokach zatrzymałam się przy drewnianej skrzynce pełnej owoców odrzuconych podczas sortowania. Większość miała niewielkie przebarwienia. Jeden był pęknięty, odsłaniając miąższ błyszczący w popołudniowym świetle.

— Nadal ich nie wyrzucacie? — zapytałam.

— Nie wszystkich. Część trafia do marmolady. Reszta na kompost.

Podniosłam pęknięty owoc i przyjrzałam się jego skórce.

— Najciekawszy zapach często mają te, których nie można sprzedać.

— Wiem. Nauczyłaś mnie tego.

Spojrzałam na niego. Powiedział to bez cienia ironii, jakby siedem lat nie odebrało nam prawa do pamiętania również dobrych rzeczy.

Wtedy zauważyłam samochód dostawczy stojący za ogrodzeniem. Na jego drzwiach widniało logo firmy transportowej, a obok ktoś przykleił kartkę z czerwonym napisem „DEVOLUCIÓN". Zwrot. Przy skrzyniach leżały dokumenty zabezpieczone przed wiatrem kamieniem. Lucjan dostrzegł kierunek mojego spojrzenia i zamknął furtkę, zasłaniając widok.

— Problemy z dostawą? — zapytałam.

— Takie rzeczy się zdarzają.

— Przy tej skali produkcji?

— Jowita, naprawdę nie musisz się tym zajmować.

Miał rację. Nie musiałam.

A jednak w jego głosie usłyszałam coś, czego nie pamiętałam sprzed lat. Niepewność. Człowiek, który zawsze wiedział, jak uratować kolejny sezon, tym razem najwyraźniej nie miał gotowej odpowiedzi.

Wyjęłam z torby kluczyki do samochodu. Przez chwilę obracałam je między palcami, zastanawiając się, dlaczego nagle tak bardzo chciałam zapytać, czy wszystko u niego w porządku.

Zamiast tego powiedziałam:

— Jutro o dziewiątej. I przygotuj wszystkie informacje potrzebne do rozmowy. Nie tylko te, które dobrze wyglądają w prezentacji.

— Przygotuję.

Już miałam odejść, kiedy odezwał się ponownie.

— Jowita?

Odwróciłam głowę.

— Cieszę się, że wróciłaś.

Siedziałam później przez kilka minut w zaparkowanym samochodzie, nie uruchamiając silnika. Na kolanach trzymałam pomarańczę, którą zerwałam po przyjeździe. Jej skórka pozostawiła na moich palcach zapach świeży, gorzki i nieznośnie znajomy.

Wiedziałam, jak stworzyć z niego perfumy. Wiedziałam też, jak podpisać umowę, wyznaczyć granice i wrócić do Warszawy zgodnie z planem.

Nie wiedziałam tylko, dlaczego jedno zwyczajne zdanie Lucjana sprawiło, że zatęskniłam nie za tym miejscem, lecz za kobietą, którą byłam przy nim, zanim zaczęłam się bać, że kochając go, przestanę być sobą.

Czy tym razem potrafiłabym pozwolić mu się do siebie zbliżyć, nie oddając mu przy tym własnego życia?

Rozdział 1 - Warunki powrotu

Następnego ranka dotarłam do sadu dwadzieścia minut przed umówioną godziną. Nie dlatego, że chciałam zobaczyć Lucjana wcześniej. Po prostu przy pracy z zapachami poranek był najuczciwszą porą dnia. Zanim słońce rozgrzało ziemię, a powietrze wypełnił kurz, można było wyodrębnić niuanse, które później znikały pod ciężarem ciepła. Zaparkowałam przy niskim kamiennym murze i otworzyłam bagażnik. Metalowa kaseta z próbkami stała obok torby z laptopem. Wszystko miałam przygotowane, posegregowane i opisane. Porządek był jedną z niewielu rzeczy, na które zawsze mogłam liczyć.

Na ekranie telefonu czekała wiadomość od Marty, mojej wspólniczki w przygotowaniach do otwarcia atelier w Warszawie. Właściwie nie byłyśmy jeszcze wspólniczkami. Ona miała doświadczenie w prowadzeniu niewielkich marek, ja receptury i nazwisko rozpoznawalne w branży. Razem zamierzałyśmy stworzyć pracownię, która nie będzie produkowała zapachów pod cudze oczekiwania.

„Właściciel lokalu przesunął termin potwierdzenia rezerwacji na piątek. Wszystko aktualne?"

Odpisałam: „Tak. Wracam zgodnie z planem".

Przez chwilę przyglądałam się wysłanym słowom. Trzy tygodnie. Dokładnie tyle zamierzałam poświęcić rodzinnej marce Borek. Niezależnie od tego, jak wyglądał Lucjan w porannym świetle i czy nadal pamiętał, że nie znosiłam kawy słodzonej cukrem.

— Jesteś przed czasem.

Stał przy wejściu do dawnej przetwórni, trzymając dwa papierowe kubki. Miał na sobie granatową koszulę, ciemne spodnie i buty, których nie żałował na kamienistych ścieżkach. W porównaniu z poprzednim wieczorem wyglądał na bardziej wypoczętego, ale cienka linia między brwiami zdradzała coś przeciwnego.

— Lubię wiedzieć, co zastanę, zanim wszyscy zaczną mi tłumaczyć, co powinnam zobaczyć.

— Niektórzy nazwaliby to nieufnością.

— Niektórzy nazwaliby punktualność oznaką szacunku.

Podał mi kubek.

— Czarna. Bez cukru.

Przyjęłam kawę, zanim zdążyłam zdecydować, czy powinnam.

— Pamiętasz.

— Nie wszystko zapomniałem.

Nie odpowiedziałam. Napiłam się ostrożnie, pozwalając gorzkiej kawie odciągnąć uwagę od sposobu, w jaki wypowiedział ostatnie zdanie. Lucjan otworzył ciężkie drewniane drzwi i przepuścił mnie przodem.

Wewnątrz pachniało chłodnym kamieniem, starym drewnem i skórką cytrusową, która przez lata wniknęła w ściany. Światło wpadało przez wysokie okna, odsłaniając rzędy nieużywanych urządzeń. Pod jedną ze ścian ustawiono stalowe stoły, pod drugą drewniane regały z pustymi butelkami. Budynek miał potencjał, choć wymagał więcej pracy, niż sugerowała prezentacja przesłana przez matkę Lucjana.

— Tu kiedyś robiliśmy marmolady i syropy — powiedział. — Później przenieśliśmy produkcję do nowego pomieszczenia przy magazynie. Ten budynek został.

— A teraz chcesz go zamienić w laboratorium?

— W pracownię. Nie potrzebujemy przemysłowego laboratorium.

Postawiłam kasetę na stole i spojrzałam na instalację elektryczną.

— Potrzebujecie odpowiedniej wentylacji, kontroli temperatury, miejsca do przechowywania surowców i osobnego stanowiska do prób. To nie kwestia nazwy.

— Dlatego chciałem, żebyś tu przyjechała.

— Żebym powiedziała ci, ile rzeczy trzeba zmienić?

— Żebyś powiedziała, jak zrobić to dobrze.

W jego głosie nie było protekcjonalności. To utrudniało rozmowę, bo przygotowałam się na konieczność obrony kompetencji, a nie na ich bezwarunkowe uznanie.

Wyjęłam notes i zaczęłam zapisywać uwagi. Lucjan nie przeszkadzał. Przeszedł do okna, podniósł jedną z rolet i otworzył skrzydło, pozwalając wpuścić do środka powietrze. Wraz z nim napłynął zapach wilgotnych liści i rozgrzewającej się ziemi. Przez chwilę pomieszczenie przypominało mi nie zakład produkcyjny, lecz miejsce, w którym ktoś mógłby zacząć wszystko od początku.

— Chcę stworzyć zapach sadu — powiedziałam. — Nie zapach pomarańczy. To zasadnicza różnica.

— Wytłumacz mi.

Oparłam dłonie na stole.

— Pomarańcza w perfumach najczęściej oznacza coś prostego. Świeżość, słodycz, wakacje. Klient wącha i od razu wie, co powinien poczuć. Ale ten sad pachnie inaczej. Ma gorzkie liście, pył na ścieżkach, drewno skrzynek i chłód starej przetwórni. Chcę, żeby kompozycja miała charakter miejsca, którego nie da się pomylić z żadnym innym.

— Nawet jeżeli nie będzie podobała się wszystkim?

— Zwłaszcza wtedy.

Lucjan uśmiechnął się nieznacznie.

— To brzmi jak ty.

— Mam nadzieję, że mówisz o kompetencjach.

— O odwadze, żeby nie udawać kogoś wygodniejszego.

Przez moment nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Przed laty ten sam człowiek potrafił zarzucać mi upór, gdy odmawiałam podporządkowania planów potrzebom jego rodziny. Teraz mówił o tej cesze z uznaniem. Nie wiedziałam, czy naprawdę się zmienił, czy jedynie nauczył się dobierać właściwe słowa.

— Przejdźmy do konkretów — zaproponowałam. — Potrzebuję pełnej informacji o budżecie, harmonogramie i produkcji. W dokumentach są luki.

Lucjan wskazał niewielkie biuro za przeszklonymi drzwiami. Na stole leżały segregatory, próbki opakowań i plansza z nazwą rodzinnej marki. Usiadłam naprzeciwko niego, otworzyłam laptop i wyświetliłam wstępną propozycję współpracy.

— Trzy tygodnie na opracowanie kierunku zapachowego. Potem sześć tygodni na testy stabilności, dokumentację i dopracowanie receptury z laboratorium produkcyjnym. Moją część mogę prowadzić z Warszawy. Licencja na

kompozycję będzie ograniczona do uzgodnionych produktów.

— A jeśli będziemy chcieli rozszerzyć linię?

— Negocjujemy aneks.

— A jeśli receptura okaże się fundamentem całej marki?

— Wtedy tym bardziej negocjujemy aneks.

Odchylił się na krześle.

— Chciałbym, żebyś była tutaj podczas wdrożenia.

— Nie ma takiej potrzeby.

— Moim zdaniem jest.

— Twoje zdanie nie zmienia mojego kalendarza.

Lucjan pochylił się nad dokumentami.

— Nie chodzi tylko o technologię. Chcę, żeby osoba, która tworzy zapach, rozumiała miejsce i ludzi, którzy tutaj pracują.

— Dlatego przyjechałam. Ale nie muszę mieszkać w Walencji, żeby rozumieć sad.

— Trzy tygodnie to niewiele.

— To wystarczająco dużo, żeby przygotować koncepcję.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie ponad stołem. Siedem lat wcześniej nasze rozmowy kończyły się podobnie. On widział całość zobowiązań, ja granice, których przekroczenie miało własną cenę. Zbyt często jedno z nas uważało, że drugie powinno po prostu zrozumieć.

— Nie chcę podpisać umowy, która z góry wyklucza twoją obecność później — powiedział wreszcie.

— A ja nie podpiszę takiej, która daje ci prawo oczekiwać jej bez końca.

— Czy każda moja propozycja musi brzmieć dla ciebie jak pułapka?

Zamknęłam laptop, choć jeszcze nie skończyliśmy.

— Nie każda. Tylko te, które zakładają, że moje życie można przesuwać zgodnie z twoimi potrzebami.

Zapadła cisza. Z zewnątrz dobiegł dźwięk silnika traktora i głosy pracowników rozpoczynających dzień. Lucjan opuścił wzrok na kartkę, po czym powoli odłożył długopis.

— Masz rację, że powinienem zapytać o twoje plany — powiedział. — Zamiast zakładać, że zostaniesz, jeśli projekt będzie wystarczająco ciekawy.

Nie spodziewałam się tego. Przygotowana odpowiedź straciła sens.

— Otwieram własne atelier w Warszawie — wyjaśniłam. — Za kilka tygodni. Wszystko jest już w ruchu. Nie mogę tego zawiesić, bo komuś pasuje inny termin.

— Wiem, że o tym marzyłaś.

— Dawniej marzyłam. Teraz to robię.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym skinął głową.

— W takim razie gratuluję.

Proste słowo zabrzmiało zaskakująco szczerze. Miałam ochotę opowiedzieć mu o lokalu, który znalazłam na Powiślu, o jasnych oknach i starych drewnianych drzwiach, które Marta chciała koniecznie zachować. Zamiast tego otworzyłam laptop ponownie.

— Możemy wypracować rozsądne rozwiązanie. Dzisiaj ustalimy zakres. Jutro dostaniesz ode mnie propozycję harmonogramu. Jeśli zaakceptujesz warunki, zaczynamy.

— Mam jeden warunek.

Uniósł się we mnie znajomy opór.

— Słucham.

— Zanim wybierzesz kierunek zapachu, chcę pokazać ci wszystkie części sadu. Nie tylko te, które pamiętasz. Zmieniło się więcej, niż widać z drogi.

— To można zrobić w dwa dni.

— Potrzebujemy przynajmniej czterech. Niektóre miejsca inaczej pachną rano, inne wieczorem. Sama mnie kiedyś tego nauczyłaś.

Nie mogłam zakwestionować argumentu bez zaprzeczenia własnej metodzie pracy.

— Cztery dni obserwacji — zgodziłam się. — Ale w ramach trzech tygodni. I bez traktowania tych spacerów jak zaproszenia do rozmów o naszej przeszłości.

— Nie planowałem tego.

— Dobrze.

— Chociaż trudno będzie udawać, że się nie znamy.

Podniosłam wzrok.

— Nie prosiłam o udawanie.

Uśmiechnął się, tym razem wyraźniej.

— To dobrze. Nigdy nie byłaś w tym szczególnie przekonująca.

Nie dałam mu satysfakcji z odpowiedzi. Wróciłam do dokumentów, ale od tej chwili słyszałam każdy ruch jego krzesła i cichy szelest papieru pod dłonią. Było w tym coś nieznośnie intymnego. Nasza dawna bliskość nie potrzebowała dotyku, żeby przypomnieć o swoim istnieniu.

Po godzinie przeszliśmy do magazynu, gdzie przechowywano koncentraty i olejki wykorzystywane

wcześniej do produkcji syropów. Lucjan pokazał mi próbki z różnych zbiorów. Większość była poprawna, lecz przewidywalna. Dopiero w niewielkiej butelce opisanej ręcznie znalazłam nutę, której szukałam.

— Co to jest?

— Destylat z liści i młodych pędów. Zrobiliśmy małą partię eksperymentalną.

Odkręciłam butelkę. Zapach był zielony, cierpki, prawie pieprzny. Pod nim kryła się delikatna słodycz, jakby obietnica owocu, który jeszcze nie dojrzał.

— Kto na to wpadł?

— Moja matka. Powiedziała, że skoro nie możemy sprzedawać wszystkich owoców, powinniśmy nauczyć się wykorzystywać również to, co do tej pory odrzucaliśmy.

Pomyślałam o skrzynkach stojących poprzedniego dnia przy samochodzie dostawczym.

— Ile tego możecie wytworzyć?

— Na razie niewiele.

— A w przyszłości?

— To zależy od tego, czy znajdziemy dla tego zastosowanie.

Przyjrzałam mu się uważniej. Mówił spokojnie, ale nie odpowiedział na pytanie o rzeczywiste możliwości produkcyjne.

— Potrzebuję danych, nie nadziei.

— Dostaniesz je.

— Wszystkie?

— Wszystkie związane z projektem.

To ostatnie zastrzeżenie zauważyłam od razu. Nie zamierzałam jednak rozpoczynać śledztwa dotyczącego finansów jego rodziny. Moim zadaniem było opracowanie zapachu, nie ratowanie przedsiębiorstwa.

Wyszliśmy na zewnątrz, gdzie słońce zdążyło już ogrzać kamienne ściany. Lucjan zatrzymał się przy schodach prowadzących do niższej części sadu. Wskazał grupę drzew rosnących na niewielkim wzniesieniu.

— Tam zaczniemy jutro. To najstarsza część gospodarstwa.

— Pamiętam.

— Wiem. Ale chciałbym, żebyś zobaczyła ją taką, jaka jest teraz.

Kiedy odwrócił się w moją stronę, staliśmy bliżej siebie, niż wymagała rozmowa. Poczułam znajomy zapach jego skóry, mydła i czegoś drzewnego. Był inny od zapachu, który pamiętałam, a mimo to wywołał tę samą chęć, by oprzeć się o niego na chwilę i przestać pilnować każdego słowa.

Cofnęłam się o krok.

— Jutro o siódmej — powiedziałam. — Najlepsze próbki zbierzemy przed upałem.

— Będę czekał.

— Lucjan?

— Tak?

— To, że potrafimy razem pracować, nie oznacza, że możemy wrócić do tego, co było.

Jego twarz spoważniała.

— Wiem.

— Chcę mieć pewność.

— Jowita, nie zaprosiłem cię tutaj, żeby odtworzyć nasze dawne życie.

Powinnam poczuć ulgę. Zamiast tego coś we mnie boleśnie się skurczyło.

— Dobrze — odpowiedziałam.

Ruszyłam w stronę samochodu, ale przy furtce obejrzałam się jeszcze raz. Lucjan stał tam, gdzie go zostawiłam, z rękami wsuniętymi do kieszeni. Nie próbował mnie zatrzymać.

Dopiero kiedy wyjechałam na drogę, zrozumiałam, że najbardziej niepokojące w naszej rozmowie nie było jego pragnienie, żebym została dłużej.

Było nim to, że przez krótką chwilę sama chciałam sprawdzić, jak wyglądałoby życie, którego kiedyś odmówiliśmy sobie nawzajem.

Rozdział 2 - Smak rzeczy niewypowiedzianych

Następnego dnia sad przywitał mnie chłodem, którego nie spodziewałam się po Walencji. O siódmej rano światło dopiero przesączało się przez korony drzew, a ziemia wciąż zatrzymywała wilgoć nocy. Przyjechałam przygotowana na kilka godzin zbierania próbek i szczegółowe oględziny najstarszej części gospodarstwa. Nie przewidziałam jedynie, że Lucjan potraktuje moje zawodowe wymagania z taką dokładnością.

Czekał przy furtce z dwiema parami rękawiczek, płóciennymi woreczkami i termosem.

— Kawa — wyjaśnił. — Na wypadek, gdybyś uznała, że znowu próbuję kupić twoją przychylność.

— To zależy od jakości kawy.

— Przygotowałem ją sam. Ryzyko jest więc spore.

Uśmiechnęłam się, zanim zdążyłam się powstrzymać. Lucjan zauważył to, ale na szczęście nie skomentował. Podał mi rękawiczki i ruszyliśmy wąską ścieżką pomiędzy drzewami. Poranna cisza nie była całkowita. Słychać było ptaki, odległy szum drogi i drobne trzaski gałęzi poruszanych wiatrem. Co kilka kroków zatrzymywałam się, rozcierając między palcami liście albo badając skórkę owocu.

Pracowało mi się z nim zaskakująco dobrze. Nie próbował zgadywać, czego potrzebuję, ani tłumaczyć mi własnego zawodu. Kiedy prosiłam o nazwę odmiany lub historię konkretnego fragmentu sadu, odpowiadał rzeczowo. Gdy milczałam, pozwalał mi myśleć.